

Nowiny Kulturalne

1.07.2026



foto: Michał Buksa



„Upiory w Ruinach” wieczorne zwiedzanie Ruin Teatru Victoria połączone z krótkimi scenami teatralnymi, w ramach największego w Polsce festiwalu mikrowypraw KIERUNEK GZM.

TOTALNIE LOKALNIE!

Ulica Matejki zamieni się w tętniące życiem centrum sztuki i kultury

W sobotę, 4 lipca 2026 roku, jedna z gliwickich ulic przejdzie niezwykłą metamorfozę. Fundacja Pełna Kultury zaprasza na „Totalnie Lokalnie - Urodziny Ulicy Matejki”. Od godziny 14.00 do 22.00 przestrzeń ta wypełni się muzyką, rzemiosłem, kreatywnymi warsztatami oraz dyskusjami o przyszłości miasta. Wstęp na wszystkie wydarzenia jest bezpłatny.

Świętowanie rozpocznie się punktualnie o godzinie 14.00 oficjalnym przywitaniem gości. Tuż po nim, o 14.15, wystartuje wyjątkowy panel dyskusyjny. Wspólny adres - Gliwice. Rozmowa z Prezydentem Łukaszem Górczyńskim oraz gośćmi specjalnymi: silesianistą Kamilem Iwanickim, społeczniczką Katarzyną Bąk, Kolektywem Hica. Prowadzenie: Agnieszka Baron - Twarowska Kolejnym ważnym



punktem programu będzie zaplanowane na godzinę 15.15 uroczyste odsłonięcie rzeźby. Z kolei w ramach Śląskiego Urban Labu podjęty zostanie istotny temat: „Dokąd zmierza projekt Placu Krakowskiego - o partycypacji w Gliwicach”.

Organizatorzy zadbali o niezwykle bogatą i zróżnicowaną ofertę warsztatową. Od 15.45 uczestnicy będą

mogli spróbować swoich sił w tworzeniu makramowych ludzików-breloków. Wielbicieli sztuk wizualnych ucieszy obecność Fundacji Majstry i Maszkiety, która od 16.00 do 22.00 poprowadzi otwarty happening malarski połączony z wystawą malarstwa, a o 16.15 zaprosi na warsztaty kolażu ulicznego. W międzyczasie, od godziny 16.00 do 19.00, trwać będzie intrygują-

ca „Dżemologia” - plenerowe Jam Session, jakiego jeszcze nie było w Gliwicach! Na ul. Jana Matejki w Gliwicach będzie stała Dżemologiczna scena, a cały backline, w tym wzmacniacze, pedalboardy i klawisze będą czekać na uczestników, ci muszą wziąć tylko swoje instrumenty.

Coś dla siebie znajdą również pasjonaci rzemiosła i kulinariów. O 17.00 Pracownia Krawiecka Estili zaprosi na „Bliskie spotkanie z maszyną do szycia”, a o 17.30 Shociarnia Drunk Pig zdradzi sekrety bezalkoholowych miksów podczas warsztatów barmańskich „Płynna Radość”.

Urodzinom ulicy Matejki towarzyszyć będzie mnóstwo atrakcji dodatkowych. Przez cały czas trwania imprezy działać będzie strefa gastro, w której o podniebienia zadbać: Vege Express, Shociarnia Drunk Pig, IBU CRAFT BEERS oraz Herbaciarnia Liravena. Swoje wyjątkowe wyroby zaprezentują lokalni

twórcy na kiermaszu rękodzieła przygotowanym przez Fundację PaskudoFonia oraz Fundację Majstry i Maszkiety. Z kolei Miejska Biblioteka Publiczna zorganizuje wielką wymianę książkową działającą na prostej zasadzie: jedna przyniesiona książka daje możliwość zabrania do domu jednej nowej lektury. Spontaniczny element widowiskowy zapewni widowiskowy flashmob w wykonaniu Gliwickiego Teatru Tańca.

Zwieńczeniem całego dnia pełnego wrażeń będzie huczna potańcówka plenerowa przygotowana przez Centrum Kultury Victoria, która potrwa od godziny 19.00 aż do zakończenia imprezy o 22.00.

Warto podkreślić, że wydarzenie jest w pełni przystosowane do potrzeb osób z niepełnosprawnościami, dla których przygotowano odpowiednie udogodnienia oraz dedykowaną toaletę. Projekt jest dofinansowany ze środków budżetu miasta Gliwice.

TOTALNIE LOKALNIE!

Muzyczny szum, taniec i pomaganie opanują Plebańską

W ramach wydarzenia „Totalnie Lokalnie: Szum na Plebańskiej” 4 lipca przestrzeń ulicy wypełnią dźwięki rocka, dancehallu, hip-hopu i drum and bassu. Impreza potrwa od godziny 17.00 do 21.00, łącząc świetną zabawę z kulinarną ucztą oraz zbiórką charytatywną.

Organizatorzy, nawiązując do poprzednich edycji imprezy, zapowiadają, że po wcześniejszym robieniu „hałasu”, przyszedł czas na prawdziwy muzyczny „szum”. Ulica Plebańska porwie uczestników do tańca, oferując bogaty program artystyczny oraz doskonałą ofertę lokalnej gastronomii.

Festiwalowy wieczór zapewni zróżnicowane brzmienia, a przed publicz-



nością zaprezentują się utalentowani artyści z regionu:

Łukasz Sobczak: Muzyk solowy, wcześniej znany szerszej publiczności z projektu White Deer. W jego twórczości słychać silne inspiracje rockiem lat 80. oraz blues-rockiem. Artysta łączy klasyczne, gitarowe brzmienia z nowoczesnym sznyttem, oferując podczas koncertów autorski materiał i znane utwory w nowych aranżacjach.

The Harpagans: Zespół, który od 2012 roku promuje klasycznego rock and rolla. Ich muzyka to energetyczna mieszanka brzmień lat 50. i 60., obejmująca rockabilly, surf, big beat, country i swing. Formacja słynie z żywiołowych koncertów oraz prześmiewczych, pełnych ironii tekstów, opisujących relacje międzyludzkie.

Pozyton Sound: Gliwicka grupa, która od lat serwuje słuchaczom unikalną mieszan-

kę jamajskiego dancehallu, hip-hopu i drum and bassu, przełamaną śląskim temperamentem. Ich występy to nie tylko koncerty, ale żywiołowe widowiska opierające się na bezpośrednim kontakcie z publicznością.

Dźwiękom muzyki towarzyszyć będą widowiskowe pokazy taneczne. Na scenie gościnnie zjawiają się wielokrotnie nagradzane grupy turniejowe **Sassy** oraz **HotUp**, reprezentujące Azyl – Studio Tańca i Ruchu. Ich dynamiczne, starannie przygotowane choreografie idealnie dopełnią energetyczny występ formacji Pozyton Sound.

Wstęp na wydarzenie jest całkowicie bezpłatny. Cała impreza ma jednak istotny wymiar charytatywny. W trakcie zabawy na ulicy Plebańskiej obecni będą wolontariusze

Stowarzyszenia „Cała Naprzód”, którzy przeprowadzą zbiórkę środków na rzecz swojego podopiecznego, Krystiana Leśniaka. Datki będzie można przekazywać zarówno do puszek, jak i za pomocą terminala płatniczego.

Festiwalowy klimat dopełni oferta lokalnych przedsiębiorców i lokali gastronomicznych, w których uczestnicy będą mogli zaopatrzyć się w pyszne jedzenie i napoje. W tworzenie atmosfery zaangażowały się: Koneser Pub, Skrzydlaty Byk, Takk Bar, Traffic Tech oraz Fundacja Pełna Kultury.

Głównym organizatorem „Szumu na Plebańskiej” jest Stowarzyszenie „Cała Naprzód”, a całe wydarzenie zostało zorganizowane przy wsparciu Centrum Kultury Victoria w Gliwicach.

ALL'IMPROVISO 2026. NIEZWYKŁY KONCERT MUZYKI DAWNEJ W GLIWICKIM GZUT

Weselne klimaty XVII-wiecznej Hanzy

Wsobotę, 4 lipca, miłośnicy muzyki dawnej będą mieli niepowtarzalną okazję przenieść się w czasie do XVII-wiecznych miast hanzeatyckich. W przestrzeniach gliwickiego GZUT-u wystąpi międzynarodowy zespół European Hanseatic Ensemble, który zaprezentuje zapomniane utwory weselne z dawnego Gdańska, Królewca i Szczecina. Za pulpitem dyrygenckim stanie ceniony ekspert w tej dziedzinie, Manfred Cordes.

Koncert, który odbędzie się w Gliwicach w ramach polskiej trasy koncertowej, to wyjątkowa propozycja dla wszystkich entuzjastów historii i klasycznych brzmień. Słuchacze będą mogli doświadczyć tego, jak przed wiekami świętowano zaślubiny w najważniejszych ośrodkach miejskich basenu Morza Bałtyckiego.



European Hanseatic Ensemble fot. All'improvviso/FB

Na scenie zaprezentuje się European Hanseatic Ensemble. Działalność zespołu, który zrzesza wybitnych instrumentalistów i wokalistów z różnych

krajów, została doceniona na arenie międzynarodowej, czego dowodem jest prestiżowy patronat Związku Hanza oraz burmistrza miasta Lubeki.

Wydarzenie poprowadzi Manfred Cordes – wybitny niemiecki dyrygent muzyki dawnej, muzykolog oraz ceniony pedagog. Jest on

postacią doskonale znaną w środowisku muzyki historycznej. Od lat dzieli się swoją wiedzą jako profesor w prestiżowej Hochschule für Künste Bremen, a w latach 2007-2012 pełnił tam zaszczytną funkcję rektora. Jego ogromne doświadczenie badawcze i dyrygenckie jest gwarancją najwyższego poziomu artystycznego zbliżającego się koncertu.

4 lipca, godz. 19.00, GZUT Gliwice, ul. Robotnicza 2

Koncert został zorganizowany przy współudziale Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Projekt uzyskał dofinansowanie ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury (państwowego funduszu celowego), w ramach programu „Muzyka”, który jest realizowany przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.

SCENA SOLAR POWRACA DO PARKU CHOPINA!

Dźwięki ze słońca i pełen relaks

Wdwa lipcowe weekendy (4-5 i 11-12 lipca) w gliwickim Parku Chopina ponownie zagości Scena Solar. To unikalne połączenie natury, muzyki i edukacji, które w tym roku jest w 100% ekologiczne. Koncerty i warsztaty zasilają wyłącznie panele fotowoltaiczne. Wstęp na wszystko jest wolny!

Wydarzenie ma być otwartą przestrzenią do wspólnego odpoczynku w otoczeniu parkowej zieleni. Organizatorzy udostępnią leżaki, ale zachęcają również do zabrania własnych koców lub hamaków. Na słonecznej scenie, zasilanej z bezemisyjnych banków energii, usłyszymy na żywo DJ-sety i koncerty artystów polskiej sceny eksperymentalnej, ambientowej oraz elektronicznej.

Muzycznym wrażeniom towarzyszyć będą zajęcia wspierające ciało i umysł. Sobotnie poranki rozpoczną sesje jogi, natomiast



niedziele upłyną pod znakiem warsztatów o miejskich roślinach i uważności (warto pojawić się w oba weekendy, gdyż tematyka zajęć będzie się zmieniać). Dopelnieniem programu będą relaksujące prelekcje. Projekt odbywa się w ramach cyklu Biennale Akademia (TAURON Gliwicka Energia Kultury).

Pełny program wydarzenia:
4 lipca (sobota)
10.00 Joga (prow. Ewelina Muzyczuk)
11.00 Relaksacja (prow. Katarzyna Janowicz-Pielecka)
11.15 Kokoro
12.15 holoe
5 lipca (niedziela)

10.00 Warsztaty z Anką Wandzel
11.00 Relaksacja (prow. Katarzyna Janowicz-Pielecka)
11.15 Grzegorz Bojanek
12.15 hermeneia
11 lipca (sobota)
10.00 Joga (prow. Ewelina Muzyczuk)
11.00 Relaksacja (prow. Katarzyna Janowicz-Pielecka)
11.15 Glassz
12.15 Resina
12 lipca (niedziela)
10.00 Warsztaty z Anką Wandzel
11.00 Relaksacja (prow. Katarzyna Janowicz-Pielecka)
11.15 Feelaz
12.15 Zofia Hołubowska

DRUGIE ŻYCIE ZABYTEKÓW.

Sekrety konserwatorów

Pęknięcia, przetarcia i zabrudzenia to dowody upływającego czasu, ale też śmiertelne zagrożenie dla historycznych artefaktów. O tym, jak wygląda żmudne ratowanie dziedzictwa materialnego od kulis, opowiada nowa wystawa „Sztuka naprawiania. Konserwacja w Muzeum w Gliwicach”, którą od 3 lipca będzie można oglądać w Zamku Piastowskim.

Praca konserwatorów zazwyczaj pozostaje ukryta przed wzrokiem zwiedzających. Tymczasem to właśnie w muzealnych pracowniach toczy się nieustanna walka o przetrwanie cennych obiektów. Ekspozycja, przygotowana przez kuratorki Annę Kruszyńską i Martę Paszko, to unikalna okazja, by zajrzeć na to specyficzne „zaplecze”. Z bliska będzie można przyrzeć się zniszczonym przez dziesięciolecia zabawkom, ludowym strojom, obrazom czy zabytkowym zegarom, które dzięki specjalistycznej interwencji odzyskały stabilność i dawny blask.



Wystawa ukaże nie tylko odrestaurowane przedmioty, ale i tajniki skomplikowanych procesów naprawczych: od czyszczenia, przez łatanie i prostowanie, aż po uzupełnianie ubytków. Zwiedzający poznają specjalistyczne narzędzia oraz techniki ratowania historii.

Wydarzeniu towarzyszyć będą oprowadzania kuratorskie oraz spotkania z pracownikami pracowni konserwatorskich, którzy zdradzą szczegóły swojej profesji. Wernisaż, połączony z wykładem wprowadzającym, odbędzie się 3 lipca o godzinie 17.00 w Zamku Piastowskim. Ekspozycja będzie dostępna do 21 września.

ULICZNICZY PO RAZ 19. ZAKLINAJĄ GLIWICKĄ RZECZYWISTOŚĆ.

Wąsate syreny i wędrowne gabinety osobliwości

Zonglerka, zaskakujące improwizacje, wędrowne gabinety opowieści i baśniowe popołudnia dla najmłodszych. Już w najbliższą sobotę, 4 lipca, wystartuje 19. edycja uwielbianego festiwalu Ulicznicy. Przez cztery lipcowe weekendy gliwicki Rynek, Park Chopina oraz surowe, mroczne mury Ruin Teatru Victoria zamienią się w tętniącą życiem arenę sztuki plenerowej. Przed publicznością wystąpią znakomici artyści z całej Europy, prezentując program obfitujący w nietuzinkowe widowiska – w tym aż pięć polskich premier. Na wszystkie wydarzenia w otwartej przestrzeni miejskiej wstęp jest wolny.

Na stronie ulicznicy.pl Piotr Chlipalski, pomysłodawca i dyrektor Międzynarodowego Festiwalu Artystów Ulicy „Ulicznicy” tak pięknie zaprasza na nadchodzącą edycję wydarzenia:

Po raz (osiemnasty) dzień będzie pięknie. Tak zwyczajnie pięknie.

Bo to nie do końca tak, że wkroczyliśmy w jakąś magiczną pełnoletność – bo przecież pojawiajemy się i znikamy, bo tak bardzo jesteśmy, a potem tak bardzo nas nie ma. Bo, choć niebezpiecznie, w sensie historycznym, zbliżyliśmy się do 500 (pię-ciu-set!) zdarzeń artystycznych, to przecież na początku w tym szaleństwie było i kino, i koncerty, i fotografia, i warsztaty... A teraz, szukając malowniczych metafor, z wielkiego targowiska różności – zmieniliśmy się w kameralny, za to bardzo, ale to bardzo magiczny stragan, pełen pieczołowicie wyszukiwanych to tu, to tam... osobliwości? nie... może... niezwykłości!

Przyjmijmy zatem na chwilę, że Dyrekcja to taki... wędrowny kolekcjoner... szlachetnych kamieni... wróć... nie kamieni – motyli! Pięk-



Bratři v Triku „Male Mermaids” fot. Anna Solcova

nych Motyli. I to wcale nie takich w klaserze, ale z własnymi, przeczącymi prawom fizyki, światami – jakby każdy przywieziony (dla potrzeby malowniczości, niech będzie) słój – z chwilą otwarcia, na tę jedną godzinę, wylewał z siebie cały, magiczny świat.

A więc tak. Jak co roku – mamy dla Was Motyle. Akrobaticzne, muzyczne, piękne, poważne, wzruszające, szalone... Znow na te kilka chwil chcemy Was wciągnąć w te najdziwniejsze dziwności, jakie udało nam się znaleźć, jakie udało się zaprosić, jakie z radością pędzą już ku Wam, by... zadziwić.

Tworzyć powidoki na kolejny rok.

Bądźmy razem po raz osiemnasty, będzie pięknie.

Piotr Chlipalski
Dyrekcja

Festiwal Ulicznicy – Program 2026

Na wszystkie imprezy wstęp wolny! (Wyjątkiem są spektakle w Ruinach Teatru Victoria – obowiązują darmowe wejściówki).

4 lipca (sobota)

16.00 | Park Chopina – Teatr Gracholka (Polska): „Krę-



Muzikanty Fot. Michał Buksa



Le G. Bistaki „Tancarville” Fot. Kalimba

tym szlakiem za Ślimakiem” (spektakl dla dzieci)

16.00, 18.00, 20.00 | Rynek – Muzikanty (Polska): „Imaginarius” (wędrowny

gabinet opowieści) – **Polska premiera!**

17.00, 19.00 | Rynek – Panorama Kinotheatre (Szwajcaria): „Kismet” (spektakl improwizo-

wany z publicznością) – **Polska premiera!**

11 lipca (sobota)

16.00 | Park Chopina – Hanna Banasiak (Polska): „Krawiec Niteczka” (spektakl dla dzieci)

17.00, 19.00 | Rynek – Adrian Schvarzstein (Hiszpania/Litwa): „Arrived” (spektakl improwizowany z publicznością) 18 lipca (sobota)

16.00 | Park Chopina – Teatr Formalina (Polska): „Kapi i Ara” (spektakl dla dzieci)

17.00 | Rynek – Bratři v Triku (Czechy): „Male Mermaids” (spektakl żonglerski) – **Polska premiera!**

18.00 | Rynek – Teatr Migro (Polska): „Ikary” (spektakl) 24 lipca (piątek)

19.00 | Ruiny Teatru Victoria – Le G. Bistaki (Francja): „Tancarville” (spektakl) – **Polska premiera!**

Uwaga: Obowiązują darmowe wejściówki!

25 lipca (sobota)

16.00 | Park Chopina – I co było dalej (Polska): „TING” (spektakl dla dzieci) – **Premiera!**

18.00 | Ruiny Teatru Victoria – Le G. Bistaki (Francja): „Tancarville” (spektakl) – **Polska premiera!**

Uwaga: Obowiązują darmowe wejściówki!

Odbiór darmowych wejściówek na spektakle w Ruinach Teatru Victoria: Rezerwacja i odbiór biletów są możliwe od 30 czerwca 2026 r. w następujących punktach:

Ruiny Teatru Victoria: al. Przyjaźni 18 (tel. 32 444 28 12 wew. 12)

Centrum Informacji Kulturalnej i Turystycznej: ul. Składowa 8a (Centrum Przesiadkowe w Gliwicach)

Foyer Ruin Teatru: Bezpośrednio przed spektaklem.

Organizator zastrzega sobie prawo do zmian programu wydarzenia, w szczególności polegających na zmianie godziny danego wystąpienia, zmiany lokalizacji lub odwołania wydarzenia.

NOWY CYKL NA ŁAMACH NOWIN GLIWICKICH.

Debiuty: Agnieszka Brygider

Każdy kiedyś zaczynał. Henryk Sienkiewicz pierwsze teksty publikował w „Przeglądzie Tygodniowym”, Bolesław Prus w „Opiekunie Domowym”, a debiutancki wiersz Adama Mickiewicza ukazał się w „Tygodniku Wileńskim”. Gazety i czasopisma przez lata były miejscem pierwszych prób, pierwszych podpisów pod tekstem i pierwszego spotkania z czytelnikiem.

Tym razem zapraszamy w świat prozy - swoją pierwszą książkę, zatytułowaną „Stare złoto skrzypiec brzmienie, nic nie idzie w zapomnienie” prezentuje Agnieszka Brygider. Lektura - klimatem wpasowuje się w nasz wielobarwny klimat Gliwic.

Zapraszamy osoby, które piszą wiersze, opowiadania, krótkie formy literackie albo tworzą prace graficzne. Swoje prace można przysłać na adres: redakcja@nowiny.gliwice.pl.

Pamiętnik Fedora Karpe

Gleiwitz, 2 marca 1932

Już noc. Spoglądam przez okno. Miasto spowite mroczną mgłą układa się do snu, a smutny deszcz delikatnie uderza w szyby. Ogrzewam się przy blasku lampki naftowej i rozpoczynam spisywanie mojej historii. Postanowiłem prowadzić ten dziennik, żeby to, co składa się na moje życie – wspomnienia, miłość i śmiech, zdenerwowanie, radość i smutek – nie poszło w zapomnienie. Chciałbym, aby zawarte w tym zeszytce zapiski sprawiły, że czas stanie się nieważny i da nieśmiertelność mnie, moim bliskim, miastu i kamienicy, w której żyjemy.

Nazywam się Fedor Karpe. Gram z zamiłowaniem na skrzypcach. Miłości do tego instrumentu nauczył mnie mój ukochany dziadek. Wiele lat temu przyniósł do domu ciężki kawał drewna. Parę dni z rzędu siedział w piwnicy, od świtu do zmierzchu dłużył w nim, tworząc prezent na moje urodziny. Od dnia, w którym wręczył mi skrzyp-

ce, instrument ten jest moim przyjacielem, powiernikiem sekretów, wyzwolicielem od złości i towarzyszem radosnych chwil.

Urodziłem się we Frankenstein – miasteczku położonym u stóp Gór Sowich. Pamiętam tamtejszych mieszkańców jako bardzo religijnych ludzi. Lubili spędzać wieczory przy świecach i przekazywać sobie historie o starych dziejach ich miasta.

Krążyły tam legendy o śmierci, która w siedemnastym wieku nawiedziła średniowieczne uliczki centrum miasteczka i zbierała obfite żniwo. Opowiadano, że w tamtym czasie do Frankenstein przyjeżdżali okoliczni grabarze i truli mieszkańców proszkiem sporządzonym z wykopywanych z grobów zwłok. Trup ścielił się gęsto, a to dawało im możliwość dużego zarobku. Mój dziadek był bardzo pracowity. Tak samo mój ojciec. Obaj prowadzili firmę specjalizującą się w szyciu koszul na miarę. Byli też dobrymi muzykami. Mieliliśmy duże mieszkanie z trzema sypialniami i łazienką, co nie było w tamtych czasach wcale takie powszechne. Mama zajmowała się domem. Gotowała tradycyjne żydowskie jedzenie: dania z mielonych ryb i zupę z kury. W wolnym czasie wyszywała. Jej dzieła zdobiły ściany naszego mieszkania. Dziadkowie byli ortodoksyjnymi ludźmi. Nosili ciemne ubrania i ściśle przestrzegali zasad naszej wiary. Mój tato był mniej pobożny, aczkolwiek mama prowadziła kosztowny dom według tego, co nakazywała tradycja. Dbała o moją edukację religijną i zapraszała do naszego domu rabina, który uczył mnie czytać Torę. W piątki zaczynało się wielkie sprzątanie. Naszym obowiązkiem było przede wszystkim wysprzątanie kuchni. Potem piekliśmy challah, chleby, słodkości i inne smakołyki. Pomagałem mamie zapalać świece. Rozpościerała nad nimi dłonie i okrężnymi ruchami trzykrotnie przysuwała ręce do siebie. Następnie zasłaniała oczy i wypowiadała błogosławieństwo. Po kiddy rozbrzmiewały głosy ojca i mojej siostry Gertrude, połączone w świątecznym hymnie – zemirotie. Teraz mogła zacząć się uczta, na której nigdy niczego nie brakowało.

Drzwi do naszego domu się nie zamykały. Odwiedzali nas wszyscy, poczynając od pracow-



Agnieszka Brygider o sobie:

Urodziłam się 20 grudnia 1983 roku w Gliwicach. Skończyłam gliwickie - Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych oraz Uniwersytet Śląski na kierunku: Italianistyka.

W trakcie studiów wyjeżdżałam do Włoch do pracy, do małego kalabrijskiego miasteczka: Melito di Porto Salvo. Tam poznałam dobrze kulturę i problematykę południa Włoch (zwłaszcza tę dotyczącą mafii) o czym piszę kolejną powieść.

Po studiach pracowałam jako tłumacz i nauczycielka języka włoskiego, wsparcie techniczne dla włoskich pracowników General Motors i audytor dokumentacji włoskiej dla Opla (Stellantis).

Obecnie pracuję jako koordynator wsparcia klienta włoskiego w firmie Timken - w Sosnowcu.

Moją pasją są historie zwykłych/niezwykłych ludzi, podróże i języki obce.

Miałam szczęście do babć, które chętnie dzieliły się ze mną niełatwymi wspomnieniami i do rodziców, którzy zasiali we mnie ciekawość świata i chęć by wsłuchiwać się w głosy mijających pokoleń.

Mam dwie dojrzejące córki - Zuzę (16 lat) Zosię (12) i kota brytyjczyka (Zeldę).

ników ojca, kończąc na członkach chóru i teatru, w którym udzielał się moi rodzice.

Dzieciństwo miałem spokojne i szczęśliwe. Co roku z rodzicami



i z siostrą jeździliśmy w góry, do uzdrowiska w Szczawnicy, gdzie korzystaliśmy z dobrodziejstw okolicznych gospodarstw. Z tamtych lat pamiętam smak świeżego koziego mleka i świeżość górskiego powietrza. Zimą jeździliśmy na narty w Tatrach. Do Gleiwitz przeprowadziłem się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku. Przeniosłem tu firmę mojego ojca. Zanim interes rozkręcił się na dobre, postanowiłem dorabiać, ucząc gry na skrzypcach.

Moim uczniem został Klaus, siedmioletni syn pary bogatych Niemców. Do dziś mieszkają na Wilhelmstrasse pod numerem czwartym.

Klaus był rumianym, lubiącym się bawić chłopcem. Pilna nauka gry na wymagających skupienia skrzypcach nie była dla niego najważniejsza. Rodzice upierali się jednak, by obudzić w dziecku pasję do instrumentu. Wiedzieli, że muzyka, metrum i progresje są bliskie arytmetyce. Nabywanie nowych umiejętności miało zaowocować lepszymi wynikami w przedmiocie, z którym kiepsko sobie radził. Lekcje odbywały się u nas w mieszkaniu i przypływały moją żonę Friedline o migrenę. Była na skraju załamania nerwowego. Po kamienicy nosiły się dzikie i szarpane dźwięki, przerywane szlochem dziecka. Nie poddawałem się jednak i postanowiłem znaleźć na niego sposób. Wybrałem metodę małych kroków. Pewnego dnia zaskoczyłem tego naburmuszonego młodzieńca. Gdy wkroczył na nasze salony czerwony ze złości, z mokrymi od łez oczami, kazałem mu zostawić skrzypce przed wejściem do pokoju.

Nastawiłem gramofon i zaproponowałem, że będziemy wystukiwać i wyklaskiwać rytm melo-

dii nogami i rękami. Dałem mu przestrzeń i swobodę. Tańczył po całym pokoju i świetnie się przy tym bawił. Po tym wydarzeniu, przychodził do mnie na zajęcia z rytmiki coraz chętniej. Rodzice cieszyli się, że ziarno zostało zasiane i hojnie opłacali lekcje.

Minął miesiąc i wprowadziłem kolejny krok. Było nim wyłapywanie w utworze brzmienia poszczególnych instrumentów, na przykład perkusji, puzonu, fletu czy pianina. Huśtał się w fotelu na biegunach i całym ciałem chłonał muzykę klasyczną lub jazz. Zamykał się na inne odgłosy i skupiał tylko na płynącej z gramofonu melodii i na wskazanym przeze mnie instrumencie. Po miesiącu Klaus zaznał się z różnymi gatunkami, wyćwiczył słuch muzyczny i mogliśmy wrócić do nauki gry na skrzypcach. Odstawiłem na bok książki z nutami i skoncentrowałem się na tym, by grał ze słuchu, ucząc się na własnych błędach. Rodzicom Klausowi ta metoda nie przypadła jednak do gustu i zapisali syna do konserwatorium. Po paru latach, także na polecenie rodziców, chłopiec wyjechał gdzieś do prywatnej szkoły z internatem.

W międzyczasie mój sklep zyskał popularność. Odwiedzali mnie liczni klienci, więc nie szukałem już kolejnego ucznia. Całkowicie porzuciłem rolę nauczyciela. Obecnie handluję między innymi: zasłonami, firanami, chodnikami, puszystymi dywanami i bielizną. Uczę też zawodu młodych adeptów sztuki szycia. Staram się być uprzejmy i odpowiedzialny. Zadaję sobie wiele trudu, żeby zadowolić każdego klienta. Dla umordowanych fizyczną pracą hutników i górników sprowadzam najlepszej jakości materace. Poprawiają jakość snu jak żadne inne. Nie są to tanie produkty, jednak znajdują się tu tacy, którzy sumiennie odkładają grosz do grosza, a uzbieraną sumę inwestują w to, co służy ich zdrowiu i wygodzie. Stałym klientom jestem skłonny sprzedawać produkty, których pilnie potrzebują, na zesztyt i na procent. Pomimo obserwowanych w ostatnim czasie zmian i nastrojów społecznych w Europie, tu, w Gleiwitz, życie przebiega nam w dobrobycie i spokoju.

*

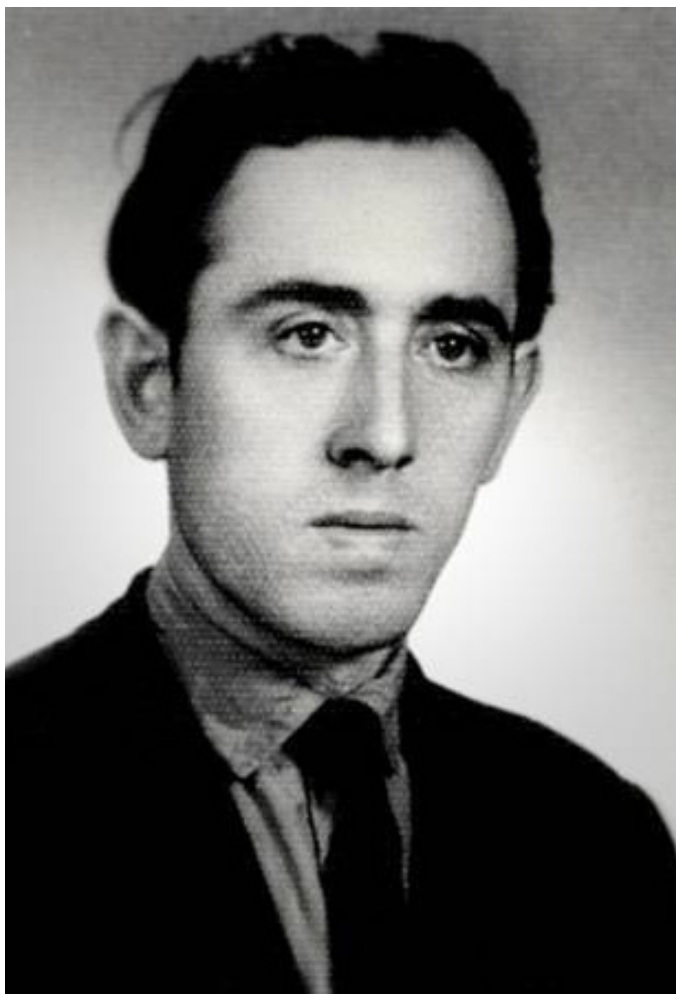
ROZMOWA Z DR EWĄ CHUDYBĄ, KIEROWNIKIEM DZIAŁU EDUKACJI I PROMOCJI MUZEUM W GLIWICACH

„Odzwyczailiśmy się od takich bohaterów. Prawdziwych, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania”

O Władysławie Suleckim, górniku kopalni „Gliwice”, współpracowniku KOR-u i współtwórcy Wolnych Związków Zawodowych rozmawiamy z Ewą Chudybą z Muzeum w Gliwicach. To na pierwszy rzut oka opowieść o człowieku pełnym sprzeczności: byłym milicjancie prześladowanym później przez milicję, robotniku rozczynanym w Mickiewiczu, katoliku gotowym ryzykować spokojem własnej rodziny i opozycjonistą, który nie pasował do żadnego wygodnego schematu.

Gdy patrzymy na biografię Władysława Suleckiego, od razu widać pewien paradoks. Późniejszy opozycjonista, człowiek szukanowany przez system, wcześniej był w Milicji Obywatelskiej. Jak to rozumieć?

Nie czytałabym tego jako ideologicznego wyboru na rzecz systemu. Raczej jako element powojennej rzeczywistości, a równocześnie rys osobowościowy. Władysław Sulecki wywodził się z niezamożnej rodziny o patriotycznych tradycjach, gdzie służba krajowi była czymś oczywistym. Jego przyjaciel i współpracownik z czasów KOR, socjolog Józef Śreniowski wspomina, że podczas okupacji, jako nastoletni chłopiec, Sulecki woził AK-owskie meldunki do Warszawy. Po wojnie wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej. To był 1948 r. - tuż po powstaniu tej organizacji. Czy miał świadomość, że celem ZMP, polskiego odpowiednika radzieckiego Komsomołu - było ukształtowanie „nowego człowieka”? Raczej chciał być przydatny, a szczerze



hasła brał za dobrą mone-tę. Kiedy w 1952 r. pracował w Bielskiej Fabryce Wyrobów Śrubowych „Bispol”, został członkiem Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej (ORMO) przy hotelu robotniczym, w którym mieszkał. Służba w Komendzie Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Gliwicach, do której zgłosił się na początku 1955 r., była logiczną konsekwencją jego prospołecznego nastawienia. Chciał działać na rzecz porządku, wspólnoty i państwa.

Bardzo szybko okazało się, że ta obywatelska postawa Suleckiego do Milicji - Obywatelskiej przecieży! - nie pasuje. To nie tyle on odkrył, że formacja jest niezgodna z jego hierarchią wartości, ile system rozpoznał, że ta hierarchia jest nie do pogodzenia z tym, czego oczekiwano od funkcjonariusza. Sulecki nie wstydził się wiary, mówił o Kościele, upierał się, że „do spowiedzi będzie

chodził i w cuda wierzy”. Przy tym był samodzielny, czytany, niepodatny na indoktrynację. A przecież przeprowadzano z nim „wyjaśniające” rozmowy...

Czyli nie był człowiekiem systemu, nawet kiedy formalnie znajdował się w jego strukturach?

Właśnie tak. On był kimś, kto wymykał się formowaniu. W dokumentach pojawia się bardzo charakterystyczny zarzut: że nie czyta gazet, tylko książki. To brzmi dziś niemal zabawnie, ale wiele mówi o ówczesnej rzeczywistości. Gazety oznaczały oficjalny, propagandowy przekaz, linię partii. Książki zapewniały przestrzeń dla samodzielnego myślenia.

Sulecki był robotnikiem, ale był też człowiekiem o szerokich horyzontach. Interesował się historią Polski, znał poezję romantyczną, Mickiewicza, „Pana Tadeusza”, „Dziady”.

To nie był inteligent z uniwersyteckim dyplomem - ukończył tylko szkołę podstawową. Był samoukiem z ogromnym głodem wiedzy. I to czyniło go dla systemu niebezpiecznym. Wymykał się marksistowskiej dialektyce, pośredniczył między dwoma światami - robotniczym i inteligenckim.

Powiedziałas wcześniej, że motorem jego działań była wiara. To rzeczywiście klucz do tej biografii?

Tak, choć dodałabym od razu drugi element: patriotyzm. W jego przypadku wiara i patriotyzm były nierozdzielne. To jest bardzo tradycyjny, może dziś dla części osób nieoczywisty model polskiej tożsamości: katolik i patriota. Ale u Suleckiego nie była to poza ani dekoracja. Jego wiara nie wyczerpywała się w religijnej obrzędowości, w rytuale, ale oznaczała zobowiązanie do działania i życia w określony sposób.

Józef Śreniowski napisał o Suleckim, że „cechowała go jakaś trudna do poskromienia chęć walki z niesprawiedliwością i nieprawdą. Ujawniał ją w momentach, gdy innych powstrzymywała bezradność czy obawa”. To jest swego rodzaju dar.

Jednym z najważniejszych momentów w jego gliwickiej historii była obrona krzyża w 1960 roku.

To był punkt zwrotny. Bo przecież jeszcze w 1956 r., na fali popaździernikowej odwilży, Sulecki na kilka miesięcy wstępuje do PZPR, ma nadzieję na demokratyzację systemu. Nie był więc jednym z tych wiecznych kontestatorów, buntownikiem z wyboru. Raczej nie pozostawiono mu wyjścia. Rok 1960 to był czas ponownego zastrzeżenia polityki wobec Kościoła. Krzyże znikały ze szkół, szpitali, przestrzeni publicznej. 24 czerwca, w oktawie Bożego

Ciała, komunistyczne władze postanowiły usunąć krzyż stojący u zbiegu ulic Hutniczej i Franciszkańskiej, obok kościoła franciszkanów. Wzbudziło to bardzo duże protesty. Milicja i ZOMO spacyfikowały zakonników i parafian - wielu pobito. 37 osób trafiło do aresztu. Wśród nich Sulecki. Spędził tam miesiąc. Ale to go nie złamało. Zrozumiał, że ta władza chce ludziom odebrać to, co ich konstytuuje: wiarę, pamięć, prawo do własnej tożsamości. Okazało się, że nie ma tu miejsca na kompromis.

W jego biografii bardzo mocno wybrzmiewa wątek codziennego heroizmu. Nie ma tu wielkich scen batalistycznych, są przesłuchania, praca w kopalni, mieszkanie, rodzina, listy, rewizje, bicie...

I właśnie dlatego historia Władysława Suleckiego jest tak ważna i tak aktualna. Wypełnia jakiś współczesny brak. Dzisiaj mamy przede wszystkim bohaterów efektywnych. Ja ich nazywam „dopaminowymi”, opowieści o nich są fabularne, złożone z wielkiego napięcia, potem przełom i happy end, napisy końcowe. A tu mamy bohatera steranego, z oczami zaczerwienionymi z niewyspania, którego wysiłek się nie kończy. Jego heroizm polega nie na tym, że wygrywa - albo przegrywa - ale że się nie poddaje. On brnie i właściwie nie zaznaje ulgi. Odwyklił się od takich bohaterów, od ich upartego, cichego heroizmu, rozgrywanego się w siermiężnej, szarej rzeczywistości PRL.

To jest też chyba powód, dla którego opowieść o opozycji demokratycznej bywa dziś mniej atrakcyjna niż opowieści o wcześniejszych epokach.

Tak. Dużo łatwiej opowiada się o bohaterstwie przez obrazy z powstań, kresowe

legendy, wielką literaturę. Naszą narodową wyobraźnię meblowali romantycy, Matejko, Sienkiewicz, Malczewski, Wyspiański... Tymczasem historia powojenna jest pozbawiona wizualnego splendoru. Wciąż nie doczekała się chociażby swojego Grottgera. Na razie jest udokumentowana, ale jeszcze nie opowiedziana. Ma czarno-białe zdjęcia, ociążała soc-modernistyczną architekturę, brzydkie biura, korytarze urzędów, mieszkania pod obserwacją, bylejakość, konfidentów, ludzi wzywanych na przesłuchania i tych, którzy przesłuchiwali...

Rok 1945 nie przyniósł Polsce pełnej wolności. Jedną okupacja dobiegła końca, ale kraj znalazł się w strefie zależności od Związku Sowieckiego. Tym bardziej ważne jest, by przypominać o prawdziwych bohaterach tamtych czasów, o ludziach szlachetnych, którzy w tej ciemnej dobie mieli siłę – jak pisał Sulecki – „powiedzieć by zachować ludzką godność”. Potrzebujemy o nich godnej opowieści. Nie laurkowej – prawdziwej.

Sulecki nie ograniczał się do Gliwic. Reagował na kolejne momenty przesilen: Marzec '68, Grudzień '70, protesty robotnicze 1976 roku. Skąd on wiedział, gdzie trzeba być?

To jest jedno z fascynujących pytań. Przecież nie było telefonów komórkowych, mediów społecznościowych, szybkiego obiegu informacji. Oficjalne media nie mówiły prawdy albo milczały.

Jednak ludzie pragnący wolnej Polski byli niezwykle wyczuleni na każdy przejaw społecznego sprzeciwu. Informacje krążyły pocztą pantoflową, przez Kościół i sieć osobistych kontaktów. Władysław Sulecki należał do tych, którzy nie czekali biernie. Podczas protestów studenckich w 1968 roku pojechał do Warszawy. Zatrzymano go i odesłano pociągiem do Katowic, gdzie wysiadł i udał się do Krakowa, bo tam też trwały protesty. Według relacji Józefa Śreniowskiego przy kościele pw. św. Anny osłonił własnym ciałem bitą



przez ZOMO-wców studentkę. Trafił do szpitala. Jej ojciec ofiarował mu w podziękę srebrne spinki do mankietów z godłem rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Godność tę sprawował dziadek bronionej przez Suleckiego studentki. Nie był na Wybrzeżu w grudniu '70 roku, ale podczas rewizji odnaleziono w jego mieszkaniu list-rezolucję, w której domagał się wyjaśnień w związku z masakrą robotników. Pisał też o szykanach, jakie w województwie katowickim spotykały robotników po Czerwcu '76 r.

Po 1976 roku związał się z KOR-em. Jaką rolę odgrywał jako robotnik w środowisku opozycyjnym?

Bardzo ważną, bo był łącznikiem między inteligencją opozycją a światem robotniczym. KOR – Komitet Obrony Robotników powstał po protestach w Radomiu, Ursusie i Płocku jako pomoc represjonowanym robotnikom. Jego założyciele nie wywodzili się z tego środowiska, to byli intelektualiści. A Sulecki nie przychodził do robotników z zewnątrz. On był jednym z nich. Dzięki jego zaangażowaniu w KOR robotnicy przestawali być tylko przedmiotem troski. Zyskiwali podmiotowość – Sulecki był ich autentycznym głosem, reprezentantem.

Pracował fizycznie, znał kopalnię, znał realia zakładu pracy, zależność od dyrekcji, rady zakładowej, partii, oficjalnych związków zawodowych. Kiedy kolportował niezależne pisma, kiedy angażował się jako autor „Robotnika”, pisma wydawanego przez KOR, mógł powie-

dzied: ja nie mówię za was, ale jako jeden z was.

A Wolne Związki Zawodowe? Dlaczego były dla władzy tak groźne?

Bo uderzały w sam ideowy fundament PRL-u, w jego mit państwa klas pracujących. Założyciele WZZ obnażali to kłamstwo, wskazując, że oficjalne związki zawodowe nie reprezentują robotników, ale są częścią aparatu kontroli. To było dla systemu niezwykle niebezpieczne.

Władysław Sulecki, Kazimierz Światoń i pozostali współzałożyciele Wolnych Związków Zawodowych mówili rzeczy elementarne: robotnicy mają prawo się organizować, mają prawo bronić swoich interesów, mają prawo stawiać opór wobec eksploatującego ich bez litości państwowego pracodawcy. Paradoks polegał na tym, że były to prawdziwie robotnicze, społeczne postulaty. Obnażały fasadowość Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

W tej historii bardzo bolesny jest wątek rodziny. Cena za bezkompromisowość Suleckiego spadała nie tylko na niego.

Tak, i tego nie można pominąć. Władysław Sulecki nie jest bohaterem oczywistym. Jeden fragment z jego wspomnień szczególnie mnie poruszył. Jest rok 1966, maj. Sulecki budzi żonę ok. 4 w nocy, prosi o przygotowanie mu kanapek na drogę i jedzie na Jasną Górę, by uczestniczyć obchodach Tyśiąclecia Chrztu Polski. Nie ma go przez 5 dni, żona nie wie, gdzie dokładnie się zatrzymał, nachodzą ją funkcjonariusze służby bezpieczeństwa... Jego

wybory są trudne, ich cenę ponosi nie tylko on, ale i najbliżsi. Najstarszą córkę Suleckiego wyrzucono ze szkoły, zdarzało się, że młodsze dziewczynki – miał 3 córki – były bite przez esbeków podczas rewizji...

To jest dramat takich biografii. Nie chodzi o to, by je oceniać, ale by uczciwie o nich opowiedzieć. Żona Władysława Suleckiego przez długi czas była dla niego wsparciem, podzielała jego wartości, ale w pewnym momencie presja i szykany służb bezpieczeństwa stały się nie do wytrzymania. Zdecydowała się na wyjazd do rodziny w RFN. Sam Sulecki pisał: „Zostałem postawiony przed koniecznością dokonania bardzo trudnego wyboru: albo pozostać w kraju zostając się z żoną i dziećmi, albo pozostać przy nich na obczyźnie. Zdecydowałem się na to drugie. Nie mogłbym znieść ustawicznego niepokoju o los najbliższych i nie móc się z nimi zobaczyć. Zdaję sobie sprawę, na jak ciężki los skazałem moją rodzinę moim zaangażowaniem w sprawy społeczne [...]”.

On sam nie chciał wyjeżdżać.

Nie chciał. I to jest jeden z najtrudniejszych momentów tej historii. Sulecki był polskim patriotą, człowiekiem bardzo głęboko przywiązany do kraju. Wyjazd do RFN w 1979 roku nie był dla niego spełnieniem marzeń o Zachodzie. Wyrzucono go z ojczyzny. Odebrano mu polskie obywatelstwo. Do samego końca istnienia PRL jego nazwisko znajdowało się na „czarnej liście”. Nie miał prawa wjazdu do Polski, choć pozostawił tu swoich bliskich.

A jednak na emigracji nie zamilkł.

Absolutnie nie. Po wyjeździe występował w Radiu Wolna Europa, publikował artykuły w paryskiej „Kulturze”, kontaktował się ze środowiskami emigracyjnymi i związkowymi. We wrześniu 1979 roku zeznawał w Waszyngtonie podczas przesłuchań im. Andrieja Sacharowa dotyczących łamania praw człowieka w krajach bloku wschodniego. Opowiadał o sytuacji robotników, o represjach, o tym, jak naprawdę wygląda życie w PRL.

Można powiedzieć, że Sulecki jest bohaterem bardzo niewygodnym?

Tak. Niewygodnym dla systemu, ale też trochę niewygodnym dla nas. Historia Władysława Suleckiego rozsądza wyobrażenia o bohaterstwie, które zawsze prowadzi do zwycięstwa lub spektakularnej klęski. Nie był idealny w sensie laurkowym. Był człowiekiem z krwi i kości. Nieoczywistym. Robotnikiem i intelektualistą z podstawowym wykształceniem, górnikiem i przyjacielem Jerzego Giedroycia. W latach emigracji publikował w paryskiej „Kulturze”, pracując równocześnie w kopalni w niemieckim Hagen. Właśnie dlatego jest tak ważny także dla nas, współcześnie. Nie jest tylko postacią z przeszłości. Przypomina, że wolność zaczyna się od uznania godności ludzkiej i od odwagi, by nie zgodzić się na kłamstwo.

Rozmawiała: Adriana Urgacz-Kuźniak

Postać Władysława Suleckiego została przypomniana w ramach projektu edukacyjnego Muzeum w Gliwicach pt. „Między czerwcem '56 a sierpniem '80 – wystąpienia robotnicze w Gliwicach i na Górnym Śląsku”. Projekt jest dofinansowany ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach programu „Patriotyzm Jutra. Wielkie Rocznice”. Patronatem honorowym projektu „Między czerwcem '56 a sierpniem '80 – wystąpienia robotnicze w Gliwicach i na Górnym Śląsku” są dr Ewa Chudyba, kierownik Działu Edukacji i Promocji oraz Leszek Jodliński, dyrektor Muzeum w Gliwicach.